Nr. 5 Dodatek do nr. 26 „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego Rok I

# Rozmaitości Literackie i Naukowe



TREŚĆ

PRZY KOMINKU: Anegdoty, przypowieści, wspomnienia i przymówki

TADEUSZ PIOTROWSKI: Jakie oczy są najpiękniejsze? — Feljeton

Z RYTMÓW I RYMÓW: Roman Themerson: „Ludzie przyszłości" — De-Jana: „Riviera" — Witold Płaszkiewicz: „Bądź Kolombiną" — Stanisław Miernik: „Graj" — Piotr Chilecki: „Róże" — Wojciech Byczek: „Oracze" — W. Weredyk: „Ku słońcu"

TADEUSZ PUDŁOWSKI: Wieniec z szarfą — Nowela

KARTKI Z HUMORU



# PRZY KOMINKU



Słynnemu aktorowi Alojzemu Żółkowskiemu zdawało się czasem, iż zdanie swe wtrącił do polityki, a że cięty miał język, więc chętnie go ludziska słuchali, szczególnie że do każdego sądu, wypowiedzianego o polityce, dodawał śmiały i ostry dowcip.

Pewnego razu głośno rozprawiał Żółkowski o Wielkopolsce, ubolewając, iż nie została wcielona do Kongresówki, najpiękniejszy to bowiem szmat ziemi kujawskiej. Wkrótce dyskusja przyjęła formę głośnego sporu, w którym Żółkowski rej wodził, łając i klnąc na czem świat stoi, moskali.

Całe to zajście doszło do słuchu wielkiego księcia Konstan'ego, który obawiając się ciętości konceptu ulubieńca publiczności, postanowił wezwać go i raz na zawsze zabronić wtrącania się do spraw politycznych.

Widzenie miało przebieg burzliwy, gdyż Żółkowski dowcipnie odparowywał ataki księcia, który w najwyższej pasji zagroził wreszcie, iż publicznie obić go każe kijami na placu, jeśli jeszcze raz coś podobnego zajdzie.

Wrzaski wielkiego księcia słychać było aż w poczekalni, to też, gdy Żółkowski wyszedł po skończonej audjencji, pośpieszono do niego z zapytaniami.

— To nic — odparł chłodno Żółkowski — niema o czem mówić. Rozmawialiśmy sobie o polityce i wielki książę za Poznań obiecał mi **Kijów**.

*

Pamiętamy te czasy, gdy lekka „prołotka" w bystrego kłusaka pod „dugą" mknęła przez ulice Warszawy, wioząc dumnego dygnitarza-zaborcę lub eleganta, oficera rosyjskiego. Były to czasy jednak, gdy bruki miejskie jeszcze więcej pozostawiały do życzenia, niż dziś, tembardziej taka ulica, jak Bednarska, pieca po „kocich łbach" spuszczająca się ku Wiśle.

Nie brak było fantazji władcom-dygnitarzom, Stroma ul. Bednarska nie była dla nich przeszkodą, by zaprodukować kłusa dzielnego „rysaka".

Walił więc tak odważnie generał Simonicz, komendant Cytadeli, aż tu, nieszczęście: potknął się kłusak, a generał wyleciał na „kocie łby" i własny sobie rozwalił.

W ten sam dzień nadeszła z Petersburga nominacja Simonicza na stanowisko ministra. Pan generał co innego miał na myśli, ciało swe bowiem nie ziemi pozostawiając, piął się wysoko, jak można najwyżej z pękniętą głową— na porachunek ostateczny.

Widać, iż nie zbytnio złorzeczono mu na tym ziemskim padole, jeśli w epitafium po nim głoszono w Warszawie, gdy „smutna" ta wiadomość rozeszła się po mieście, iż nareszcie choć raz zapragnął mieć Petersburg ministrów „z otwartą głową".

*

Był sobie po wypadkach w 31 roku taki biedny emigrant, Władysław Tymowski, którego prawdziwem nieszczęściem było posiadanie brata, Józefa, gorliwie wysługującego się dworowi rosyjskiemu, a nieszczęściem było to tem większem, iż brat był jedyną ucieczką przed gryzącą nędzą. Musiał więc pan Władysław, gdy na kilo chleba nie starczało pisywać do brata, prosząc go o zapomogę.

A pan Józef, że mu to wiele na opinji zależało, by nie ściągnąć na siebie podejrzenia, iż stosunki utrzymuje z bratem „buntowszczikiem", tak daleko posuwał swą lojalność, iż nie odpieczętowując listów, nosił je do groźnego Paszkiewicza.

— Cóż to nie wezwiesz brata, by tu do kraju przyjechał — zapytał raz Tymowskiego Paszkiewicz. — Zostałeś przecież niedawno szambelanem Jego Cesarskiej Mości, nie odmówię ci więc tak drobnej przysługi, by pomóc tu brata sprowadzić.

Napisał więc pan Józef, że tak, a tak, że jest szambelanem, że dość emigranckiej tułaczki, gdy tu łaska cesarska możliwa, a z nią spokój i dostatek i t. d. i t. d.

Przyszła odpowiedź i, jak zwykle, zaniósł pan Józef list Paszkiewiczowi, nie otwierając nawet koperty.

A Paszkiewicz, jak to zwykle czynił, łaskawie raczył list otworzyć, ale krótko czytał i z pasją na ziemię cisnął. Nie był to bowiem list, a krótki czterowiersz wielce nieprzystojnej treści, oto bowiem co pisał pan Władysław:

„Odebrałem twe pismo z siedemnastej daty
Nie pisałem o rady, ale o dukaty,
A ponieważ zostałeś dworu szambelanem
Całujże mnie w.... z najjaśniejszym Panem."

Na tym to liście zakończona została korespondencja braterska.

*

Podobno lubią „koloryzować" na Kresach, nie tylko na Litwie, ale i na Rusi. Wielkim artystą w tej dziedzinie był pewien ziemianin wołyński, którego inną wadą była niezwykła próżność, szczególnie, gdy poruszano sprawę jego majątku i gospodarki.

Na większym festynie wszczęto kiedyś mowę o rybołóstwie i hodowli, zaczął tedy Załęski rozwodzić się, jakie to u niego ryby, jakie stawy, jaka gospodarka i wyraz „staw" ciągle powtarzał, w tej długiej mowie nikomu nie dając przyjść do słowa.

— A skończ-że o tych stawach—przerwał mu nareszcie jeden z biesiadników, jowialny pan Aleksander Rakowski — bo je każę zbutelkować...

*

Kronika anegdotyczna pozostawiła nam w spuściźnie zagadkową przymówkę:

Żydzi Jordan zakalili

Nie należy dopatrywać się w tym miejscu żadnej wycieczki o charakterze polityczno-entograficznym, gdyż jest to poprostu dowcipna odpowiedź, jaką dał sędzia grodzki i krakowski, noszący dziwne nazwisko Żydowski, niejakiemu Jordanowi, wojewodzie bracławskiemu.

Wojewoda, spotkawszy Żydowskiego na jakowemś zebraniu towarzyskiem, a będąc podchmielony, pozwolił sobie na nieprzystojną wycieczkę w kierunku nazwiska pana sędziego, zapytując:

— Co tam w Jerozolimie słychać, mości panie Żydowski?

— Żydzi Jordan „zakalili" — najspokojniej odpowiedział pan sędzia.

## Przymówki

### Na świętego Wawrzyńca (10 sierpnia)

Swięty Wawrzyniec,
odbiera latu wieniec...

Na święty Wawrzyniec,
wolny przez pola gościniec...

Wawrzyniec pokazuje,
jak jesień następuje...

Swięty Wawrzyniec
otwiera zwierzyniec...

W święto Wawrzyńca
spieszą do młyńca...

Na święty Wawrzyniec
czas orać ożimiec...

*TADEUSZ PIOTROWSKI.*

# *Jakie oczy są najpiękniejsze?*

Znany jest wpływ wzroku kobiecego na mężczyznę.

Pan stworzenia, po którym mielibyśmy prawo spodziewać się więcej odporności, odgrywa mniej więcej rolę gołębia, magnetyzowanego wzrokiem węża, i ginie chętnie w blaskach jego promieni...

Do tego celu mogą być użyte oczy najrozmaitszej barwy, kształtu i wielkości, byleby barwa i wielkość były te same dla obu oczu.

O ile sobie przypominamy, to w nadobnej literaturze jedyny wyjątek od tej zasady harmonji zrobił Wiktor Hugo, wyposażając bohaterkę w „Człowieku śmiechu" Jozjannę podwójnym kolorem oczu. Prawe miało przeczysty lazur nieba, natomiast lewe oko było czarne, jak przepaść. Zależnie więc od tego, czy spojrzała na kogoś prawem czy lewem okiem — wzrokiem wyrażała całe niebo miłości (na prawo) lub piekło niewzajemności (na lewo).

Zazdrości godna wszechstronność w wyrażaniu uczuć oczyma!

Wiktorowi Hugo wszystko wolno. Wszakże co do kształtu kobiecych oczu, to o ile wiemy, zarówno w literaturze, jak w życiu, panuje zasada, że oczy muszą być jednakowej wielkości.

Przynajmniej dotychczas nie zdarzyło się nam spotkać mężczyzny, któryby, wielbiąc wdzięki swej bogdanki, w ten sposób się wyrażał:

— Prześliczna jesteś, dziewczyno! Oczy masz czarne, duże, a jedno większe od drugiego.

Jakie oczy są łagodniejsze? Niebieskie czy czarne?

Jest to rzecz czysto indywidualnego poglądu. My, Polacy, zdradzamy przeważnie grzeszną skłonność do kobiet o niebieskich oczach. Czarne oczy mają także powodzenie, a to samo da się powiedzieć o burych, szarych i zielonych.

Bohaterką poezji polskiej jest niebieskooka dziewica. Zosia w „Panu Tadeuszu" ma błękitne oczęta, modrooka jest również Halina w „Wiesławie" Brodzińskiego i nieśmiertelna Halka, bohaterka krakowiaków E. Wasilewskiego. Także ze śpiewów historycznych Niemcewicza dowiadujemy się o Żółkiewskim, że „niebieskie oczy serce mu zraniły".

Bo też jasna niebieska źrenica jest jedną z tak pięknych charakterystycznych cech Polki. Nie jest to martwy wyblakły kolor oczu Niemki o bezmyślnym wyrazie, lecz błękit, rozjaśniony iskierką temperamentu i namiętności.

Czarne oczy to znak urody kobiet z Południa, choć i między Polkami zdarzają się dość często czarnookie dziewoje. Widoczną predylekcję do czarnych oczu miał nasz wielki mistrz powieści, Henryk Sienkiewicz. Jego Helena Kuncewiczówna, Anusia Borzobohata i Oleńka są brunetkami o czarnych oczach.

Rzecz dość osobliwa, gdyż pierwsza miłość Sienkiewicza, słynna tragiczka Helena Modrzejewska, miała prześliczne niebieskie oczy.

Bohaterką jednej z najlepszych powieści M. Jokaya jest „Kobieta o morskich oczach".

Ale wróćmy do polskich oczu w myśl patrjotycznej dewizy: „Popierajmy to, co swoje!"

Krakowianki, zwłaszcza wieśniaczki mają przeważnie oczy siwe, przynajmniej tak je określa piosnka ludowa:

*Siwe oczka mamy,*
*oboje się znamy.*
*Cóż komu do tego,*
*że my się kochamy?*

Krakowski parobek nie ma przekonania do oczu czarnych, bo w jednym z krakowiaków użala się:

*Oj! czarne oczka, czarne*
*prowadzą na marne,*
*lecz gorsze niebieskie,*
*bo spojrzenie pieskie.*

Malkontent!... I czarne mu niedobre i niebieskie przeklina, coprawda w zbyt śmiałem porównaniu, gdyż pies z niebieskiemi oczami byłby z pewnością unikatem.

Co się zaś tyczy siwego koloru, to jest on ulubiony wśród naszego ludu. W poezji swej lud przyozdabia tem określeniem przynajmniej połowę przedmiotów, zajmujących jego wyobraźnię i zmysł estetyczny.

Siwa chmurka, siwa gołębica, siwy konik, siwa sukmana, a przedewszystkiem siwe oczy kochanej dziewuchy.

Czy naprawdę siwe, względnie niebieskie oczy, są najpiękniejsze?

Sądzę, że każde oko jest ładne, jeżeli przemawia zeń dusza rozumna, a nie bestja, przyczajona w człowieku.

Pięknem jest oko czyste i zdrowe bez sztucznych upiększeń, bez podkreślań i zalewania atropiną źrenicy dla nadania jej gorączkowego połysku.

Piękne są wreszcie oczy wypoczęte i nie zmęczone niewywczasem nocnym i nadużyciem nerwów.

Pięknemi bez względu na kształt i barwę są oczy każdej rozumnej i uczciwej kobiety, nie pretendujące ani do „piekielnych przepaści", ani do „wyżyn niebiańskich".



# Z rymów i rytmów

## KU SŁOŃCU...

*Ku słońcu idę, choć sam jestem cieniem,*
*nieznanych potęg skupieniem ognistem,*
*choć myśl zamglona zwątpieniem wieczystem,*
*choć dzień się tłucze nocnych złud kwileniem —*
*ku słońcu idę.*

*Idę milczący w tem pielgrzymów kole,*
*ażeby rytmu nie spłoszyć z snu życia,*
*nie patrzę w groby, opuszczone w dole,*
*nie słucham żalów, ani hyjen wycia —*
*ku słońcu idę.*

*Ku słońcu idę, w świat wielki, skrzydlaty,*
*gdzie żywioł bóstwa panuje w potędze,*
*gdzie z myśli, z uczuć wyrastają kwiaty,*
*rozprzestrzenione po jasnej zórz wstędze —*
*ku słońcu idę.*

*Nie wiem, czem jestem, ani czem być mogę,*
*i nie wiem, jaką mam w swem tętnie duszę,*
*lecz znam przedemną w świt biegnącą drogę,*
*po której z życiem w wieczność kroczyć muszę —*
*ku słońcu idę.*

**W. Weredyk**

## GRAJ!

*W głębi mej jaźni drży kaskada tonów,*
*pieśń twa tak słodka, jak aniołów pienia,*
*pieśń, co niebiańskie daje objawienia,*
*jak hymn serafów z zaziemskich regjonów.*

*W godzinach męki, gdy ból targał duszą*
*i rwał na strzępy marzenia świetlane,*
*twa pieśń koiła me serce znękane*
*harfą Eola i fletnią pastuszą...*

*Więc nie chciej skąpić krótkiej szczęścia chwili,*
*nie kryj zazdrośnie twych niebiańskich darów,*
*graj, z pod twych palców płynie zdrój rozkoszy...*

*Graj, niech się chorał słowików rozkwili,*
*niechaj duch wzlata w kraj baśni i czarów,*
*nim rzeczywistość marzenia nie spłoszy...*

**Stanisław Miernik**

## ORACZE

*Gdym kiedyś w pole szedł miedzą o świcie,*
*widziałem pługi, idące niw smugą,*
*chmurki po niebie szły jedna za drugą*
*w otchłanie błędne — jak pielgrzyma życie...*

*Słońce powstało i szło po błękicie*
*ku polom, pieszcząc złotą blasków strugą*
*pługi i siewców, co szli niwą długą*
*w pachnącej gleby topiąc się zachwycie...*

*Wciąż pługi płyną po modrym rozłogu*
*i skiby równą kładą się wciąż wstęgą,*
*skowronki dzwonią wciąż u nieba progu...*

*A chłopek, zgrzebną odziany siermięgą,*
*sieje i sieje — z trwającą potęgą*
*wiary — idący ku polom i Bogu...*

**Wojciech Byczek**

## *LUDZIE PRZYSZŁOŚCI*

*Zwyciężyłeś, Lindbergu, bezmiar Atlantyku!*
*Przyjdą inni, co wokół ziemski glob przefruną,*
*A później z was niejeden w lotnym pancerniku*
*Pozna się z Marsem, Wenus i srebrzystą Luną.*

*Wszechświat cały ogarniesz w swym zwycięskim locie,*
*Przestrzeń to będzie minut kilkunastu kwestja,*
*W czasie których przeleci kilometrów krocie*
*Wśród milczących otchłani szperająca bestja.*

*Gdy na linji „Mars—Ziemia", podróżą znudzony,*
*Każesz boyowi podać jakąś książkę Verne'a,*
*Przerzucisz ledwo dwie, trzy albo cztery strony*
*Westchniesz, ziewniesz: i szepniesz: — Jakaż proza mierna!*

Roman Themerson

## *RÓŻE*

*Owinęło mię życie barwną serpentyną*
*i do warg mych zbliżyło szczerozłote kruże,*
*gdzie w zwierciadle napoju purpurowe róże,*
*rozsiewając woń wkoło, po powierzchni płyną...*

*Do stóp moich się ścielą w krwawiącej purpurze,*
*dyszące namiętnością, zmysłów pełne czaru,*
*i jak postać anioła w bieli nenufaru —*
*szkarłatne, białe, żółte — pełne wdzięku — róże...*

Piotr Chilecki

## *RIVIERA*

(Z cyklu: Kolombina).

*Kolombina ma męża i ma cud-Pierota,*
*pierwszy jej daje wszystko, a drugi — kochanie...*
*Pierotowi przy mężu mówi: — Drogi panie!*
*a gdy męża niema: — Ty!... moja pieszczota!...*

*Kolombina choruje, więc jest na Rivierze...*
*Arlekin siedzi w mieście i posyła czeki,*
*wzdychając, że kres tęsknot jeszcze tak daleki,*
*zaś przy żonie jest Pierot i kocha ją szczerze...*

*Kolombina już zdrowa, opuszcza kraj złoty,*
*ze łzami żegna jasność i szczęście z Pierotem,*
*aż lęka się pomyśleć, co to będzie potem...*
— — — — — — — — —
*Na peronie Arlekin: — Płaczesz? — To z tęsknoty!...*

De-Jana

## *BĄDŹ KOLOMBINĄ*

(W odpowiedzi na wiersz „Shimmy")

*Jeśli są słodkie ust twych wilgotne korale,*
*bądź Kolombiną, a ja będę twym Pierotem,*
*będziemy gonić szczęścia pierzchające fale*
*i bawić się, jak dzieci, na wybrzeżu złotem.*

*A jeśli śmiech nasz zwabi twego Arlekina,*
*oddam mu brylantową szpilkę do krawata*
*i dwa mu oddam stare bilety do kina,*
*by sobie poszedł od nas w obłąkanie świata.*

*Morze, bijąc o skały, grać będzie „charlestona",*
*a my tańczyć będziemy śmieszny życia taniec,*
*aż fale ścichną naraz, i melodja skona,*
*i zgaśnie naszych przeżyć różowy kaganiec...*

Witold Płaszkiewicz.

TADEUSZ PUDŁOWSKI

# *Wieniec z szarfą*

Życie hojną dłonią rzucało mu ciernie pod stopy, nie szczędziło trosk, goryczy i zgryzot.

Jakieś fatum zawisło nad jego dolą i strzegło zazdrośnie, by ani jeden promyk szczęścia nie zamigotał nadzieją lepszego jutra w jego smutnych, spłowiałych przy pracy źrenicach.

Nie miał nigdy przyjaciół, niczyjej życzliwości nie doznał, młodo odumarła go żona, niewdzięcznością zapłaciły mu za tkliwą miłość dzieci, maltretowali go zwierzchnicy...

Więc w walce nierównej z przeznaczeniem stargał nerwy, zgorzkniał, przestał wierzyć w istnienie dobra na świecie, miał jakiś dziwny żal do całego społeczeństwa, niechęć i odrazę niewytłumaczoną nietylko do tych ludzi, z którymi łączyły go stosunki, bądź znajomość, bądź koleżeństwo, ale nawet do tych tysięcy osobników, spotykanych codziennie, obcych i nieznanych mu zupełnie.

— Podły świat! — zwykł mawiać i w tym frazesie, rzucanym przez usta zaciśnięte, streszczał swe zapatrywanie na wędrówkę doczesną.

Jednak przyszła chwila, iż zmienił zdanie.

Wpłynął na to wieniec piętnastozłotowy, zakupiony składkowo przez czterdziestu kilku jego kolegów.

Zwykły, szablonowy wieniec: dwa sztuczne liście palmowe spojono pęczkiem, osadzonych na drutach kwiatów, z pod których zwieszała się biała, atłasowa szarfa.

Być może, że ani wieniec, ani szarfa nie zrobiłyby na nim wrażenia, lecz napis na wstędze ułożony z liter ceratowych, głoszący, — „Drogiemu, nieodżałowanemu koledze — koledzy“ — z pewnością łzę byłby mu z oczu wycisnął, gdyby mógł płakać.

Niestety! Płakać wówczas nie mógł.

A działo się to w cudną noc letnią...

Rozgwieżdżony strop szafiru zawisł nad ziemią.

Wiatr trzepotliwy niósł na swych lotnych skrzydłach jękliwe dźwięki zegara, wydzwaniającego północ na kościelnej wieżycy...

Wśród drzew cmentarnych zakołysały się jakieś zjawy mgliste, snuły się zewsząd i, przybierając coraz wyraźniejsze kształty szkieletów, dążyły ku świeżo usypanej mogile.

Zajął ją był właśnie dzisiaj, dzięki skutecznej pomocy lekarza, opłacanego przez zarząd instytucji, w której przepracował czterdzieści długich lat.

Legł na spoczynek wieczysty on, co tak zawsze pragnął ciszy, spokoju i samotności.

Nie przewidywał, że o północy będzie musiał powstać, gdyż towarzysze cmentarni spieszyli zewsząd, aby zawrzeć znajomość z nowym przybyszem, dowiedzieć, co słychać nowego na świecie?

Stanęli w półkole nad mogiłą, zaklekotali piszczelami, z bezzębnych zaś jam ustnych wybiegł rozkaz głuchy:

— Wstań, towarzyszu! Witamy cię!

Poruszyła się ziemia.

Rozsunęła się świeżo usypana mogiła.

Powoli, z wysiłkiem zaczęła wynurzać się z głębi sina, koścista, apatycznie wyciągnięta twarz nieboszczyka, następnie wąskie ramiona, zapadnięta klatka piersiowa, długie, nieprzyzwoicie długie ręce, dalej przerażająco cienkie, suche nogi...

— Moje uszanowanie! — westchnął i zgiął się w niskim ukłonie, do jakiego przywykł był w życiu.

Zachichotały szkielety.

— Ostrożnie, kolego! Widać, żeś nowicjusz!

Rozsypiesz się wkrótce, jeśli nadal w ten sposób zginać się będziesz!

— Consuetudo est altera natura! — nieboszczyk po raz pierwszy zużytkował praktycznie łacinę, której uczył się w szkołach.

— Ba! Tutaj również jest altera natura — odciął któryś z truposzów.

Dowcip wywołał ogólne zadowolenie.

— No i co tam nowego słychać?

— Gdzie?

— No tam, skąd przybywasz... na świecie...

— Phi!... — gwizdnął — podle...

— Tak każdy z was... nowych... powiada — kiwnął czaszką jeden ze szkieletów — ale nie macie racji! Tu... u nas... istotnie podle...

— No... — nieśmiało zaoponował zmartwychwstały.

— Przekonasz się wkrótce... A czem byłeś za życia!

— Kasjerem...

— I umarłeś w kraju?

— Tu, gdziem się rodził...

— Toś głupi! — syknięto i zaciekawieni truposze zbliżyli się, aby lepiej przyjrzeć się nowemu koledze.

Musiał opowiedzieć im szczegółowo o wszystkiem, czego był świadkiem za ostatnich dni swego żywota. Okazało się bowiem, że od dłuższego już czasu nie miano na cmentarzu żadnych wiadomości ze świata, gdyż wszyscy grzebani w ciągu ostatnich dwóch tygodni kończyli żywot nieprzytomnie. Kasjer był pierwszym, co przeniósł się do wieczności w pełni władz umysłowych.

Zasypywano go wprost pytaniami.

A że na trzy godziny przed agonją przeczytał ostatniego Kurjerka, więc mógł udzielić odpowiedzi wyczerpujących, zwłaszcza w sprawach teatralnych, któremi truposze interesowali się bardzo.

— No! dość będzie na dzisiaj! — odezwał się

wreszcie jeden ze szkieletów. Jutro opowiesz nam resztę, a teraz... czasu mamy już niewiele... trzeba zaś koniecznie się przewietrzyć... higjena przedewszystkiem! Chodź z nami!

— Dobrze... jeśli tak być musi... choć ja właściwie wolałbym poleżeć, aby odpocząć trochę po pięćdziesięciu dwóch latach życia...

— Na to będziesz miał dużo czasu... całą wieczność... gdy spróchniejesz na pył, bo... uważasz... to cię nie minie... jak amen w pacierzu. Taka zaś przechadzka codzienna doskonale robi na kości... konserwując je znakomicie... No: nie marudź!

Kasjer pochylił głowę, poruszył nogą, aby dać krok... coś zaszeleściało na ziemi.

— Przepraszam najmocniej... pójdę z przyjemnością tylko że... zdaje mi się... nadepnąłem mimowoli na coś...

— Kopnij! To wieniec!

— Wieniec? Na moim grobie?

— A tak. Patrz... przeczytaj na szarfie: „Drogiemu, nieodżałowanemu koledze — koledzy". Ilu ich miałeś?

— Kogo?

— No, kolegów?

— Czterdziestu kilku—westchnął bardzo ciężko.

— Zatem, twoja śmierć kosztowała każdego z nich niecałe czterdzieści groszy, wliczywszy żal.

— Więc to dla mnie... ten wspaniały wieniec?— zdumiał się.

— Mój drogi — oburzyły się truposze — tutaj, uważasz, na cmentarzu unikaj przesady. Wieniec naturalnie należy do ciebie, skoro leży na twoim grobie, ale do wspaniałości dużo mu jeszcze brak. Jest to zwykły wieniec, jakie wyrabiane są w wielkiej ilości, w lichym gatunku i rodzaju, wystarczającym w zupełności do zsymbolizowania przyjaźni lub koleżeństwa. Gdyby istotnie był wspaniałym, mój drogi, to w godzinę po twoim pogrzebie wisiałby na ścianie w mieszkaniu dozorcy cmentarnego, jutro zaś byłby za połowę ceny odsprzedany firmie, która wieńcami handluje. No! chodź... chodź... wkrótce świtać zacznie...

Kasjer zamachał rękoma, jak tenor bohaterski w ostatnim akcie.

— Panowie i panie! — W kwestji formalnej! — pierwszy raz w życiu — po śmierci — stał się wymownym. Panowie i panie! — powtórzył. Słuchajcie! Jeśli łzy rozczulenia i głębokiej wdzięczności nie płyną mi z oczu, to wyłącznie dlatego, że płynąć, jak wiecie, nie mogą. Wierzajcie mi jednak, że ta chwila uroczysta po śmierci, godzi mnie ze światem, wynagradza mi sowicie całe życie zgryzot i zawodów. Wieniec dla mnie! Poczciwi! „Drogiemu — nieodżałowanemu!" Zacni! Kochani! To prawda, że poręczałem za nich, że naturalnie płaciłem, ale ja im w gruncie rzeczy nie ufałem, podejrzywałem o intrygi... nie chciałem przeniknąć głębiej w ich serca, nie umiałem odszukać tych pereł... Nieodżałowanemu! Panowie i panie! Świat nie jest tak podły... przeciwnie... człowiek dopiero po śmierci przekonywa się o tem. Panowie i panie! Świat... wybaczcie, że może nie dość wyraźnie formułuję myśli... że pląozę słowa, jakie cisną mi się z krtani na zesztywniałe usta, ale... ja nie mam wprawy, bo jako wieloletni współpracownik nie miałem sposobności do przemawiania... musiałem tylko słuchać... a zresztą anemja... katar żołądka... suchoty... uważacie panowie i panie... obowiązki...

Nie skończył.

Szkielety rzuciły się na niego i wtłoczyły do grobu. Odtąd jednak w każdą noc zrywał się pierwszy, gonił stroniących od niego towarzyszy i, nabierając stopniowo wprawy w wysławianiu się, wygłaszał długie przemowy o zaletach świata, z którego zszedł w pięćdziesiątym drugim roku życia.

Nadaremnie tłumaczono mu, iż składanie wieńców na trumnach, jest to jeden z tych licznych zabytków szczątkowych, które, utraciwszy z biegiem lat swoją treść i cel, pozostały czczą formą, bezwiednie i tylko tradycyjnie zastosowywaną przez ludzkość.

Aby wyleczyć go z tego spóźnionego optymizmu, sprowadzono na jedno z posiedzeń byłego przedsiębiorcę pogrzebowego, aby opowiedział jak złorzeczą w podobnych wypadkach ludzie, którzy dla pozorów zmuszeni są nabywać wieńce, jak wstrętnie targują się o każdą kopiejkę i kpią bezczelnie przy układaniu napisów.

A więc i napis na jego wieńcu — to zwykły w takich okolicznościach zwrot retoryczny — frazes, bez jakiegokolwiek znaczenia.

I jeśli koledzy istotnie żałują czegoś, to owych czterdziestu groszy, na których wydatek naraził ich przez swoją śmierć — zupełnie zresztą nie w porę, gdyż w drugiej połowie miesiąca, kiedy to każdy grosz posiada wartość podwójną.

Przekonywano go, że gdyby umarł nie on, kasjer, lecz nienawidzony ogólnie prokurent, wieniec byłby wspanialszy, szarfy czysto jedwabne, napis zaś suto złocony, lecz nie z liter ceratowych jak u niego.

Kasjer nie dał się przekonać.

Chciał nawet wybrać się kiedyś o północy z wizytami, aby osobiście podziękować każdemu z kolegów, lecz wobec zgnicia garderoby, jaką obdarzono go na wieczystą podróż — zamiaru musiał, aczkolwiek z żalem wielkim, zaniechać.

Minął rok.

Kasjer zdobył tytuł warjata i stał się postrachem całego cmentarza.

Kto wie, czemby się to skończyło, bo truposze na nadzwyczajnem zebraniu ogólnem, w drugim naturalnie terminie, uchwalili jednogłośnie za wszelką cenę pozbyć się gadatliwego i nieznośnego przybysza, co zakłócał spokój cmentarny.

Wybrano komisję, która miała w czasie najbliższym obmyślić środki i sposoby i poddać je zatwierdzeniu następnego zebrania.

Nim jednak komisja zdążyła odbyć kilka przedwstępnych posiedzeń zaszedł wypadek, który uleczył radykalnie „drogiego nieodżałowanego".

Pewnego dnia jęczały rozgłośnie dzwony pogrzebne, pienia żałobne toczyły się echem prze-

nikliwem po mogiłach, mowy nadgrobne przenikały w głąb ziemi cmentarnej.

Świat pozbywał się kogoś.

Szkielety z niecierpliwością oczekiwały północy, nie mogąc uleżeć spokojnie w trumnach.

Wreszcie zadzwonił zegar kościelny.

Rzucono się tłumnie.

Nawet kasjer zaniechał przemówienia i wraz z towarzyszami stanął na świeżym grobie.

— Hola! — krzyknął, spojrzawszy na blachę — nasz prokurent! A... nie — dodał, wczytując się — nie... to jego stryj...

— Znałeś go? — zapytano.

— Nie. Mieszkał stale w Paryżu.

— Przyjeżdżał często?

— Nigdy. Był to człowiek bardzo bogaty, właściciel kilku wielkich kamienic w naszem mieście. Widocznie, sprowadzono go do kraju już po śmierci. Ciekawym, od kogo tyle wieńców?

Wieńce były od czasu śmierci, a raczej zmartwychpowstania, czułą struną kasjera.

Zbliżył się więc, nachylił i zaczął kolejno odczytywać złocone pompatyczne napisy.

Wzdrygnął się z obrzydzeniem.

Każdy z czterdziestu kilku byłych jego kolegów złożył stryjowi prokurenta wieniec w cenie co najmniej złotych dwudziestu...

— Phi!... podły świat! — syknął kasjer, kopnął w stos liści, kwiatów i szarf, zawrócił do własnej mogiły i rzucił się w nią tak gwałtownie, iż rozsypał się na części.

# *Kartki z humoru*

*NIEPOROZUMIENIE NA TLE MODY...*



*— Mamo, ten chłopczyk nie chce się bawić z nami...*

*CZYŻ TO MOŻLIWE?*



*— Tak przejąłem się całą sprawą, że mi włosy dęba stanęły...*





Wydawca: Polskie Biuro Wydawnicze. Redaktor: *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.